

Mirosław Babuchowski

Moje nazwisko Babuchowski Mirosław. Urodziłem się w Milatynie Nowym powiat Kamionka Strumiłowa, województwo tarnopolskie 28 października 1935 roku. Mieszkaliśmy przed wojną w Kruszewie powiat Czarnków, województwo poznańskie, gdzie ojciec był nauczycielem i uczył tam w szkole. Matka była przy domu, jako niepracująca. Jakiego przedmiotu uczył ojciec, nie dowiedzieliśmy się. Byliśmy niedawno w Kruszewie i pojedziemy jeszcze raz, bo dyrektor szkoły podał nam dużo szczegółów. Rozmawiał z człowiekiem, który miał 90 coś lat, dużo pamięta i dowiemy się teraz więcej, jakich przedmiotów uczył, ale mnie się zdaje, że tych ścisłych przedmiotów. Chyba fizykę i matematykę. Jakie ojciec miał wykształcenie, nie pamiętam. W każdym razie był nauczycielem. Na wakacjach w 1939 roku wyjechaliśmy na ferie, tam gdzie się urodziłem, to znaczy do Milatyna Nowego, gdzie zastała nas też wojna. Ojciec, jako podporucznik, został wcielony do wojska. My pozostaliśmy, już nie wyjeżdżając do Kruszewa. Wiosną 13 kwietnia 1940 roku zostaliśmy deportowani do Związku Radzieckiego.

Jak to wyglądało, co ja pamiętam jako mały, jeszcze pięcioletni dzieciak. W nocy stukanie do drzwi, matka poszła otworzyć, jeden znajomy, bardzo mocno znajomy, wprowadził ich. Matka się pyta, po co przyszli, tylko tak ramionami poruszył, wiedząc, o co chodzi. Kazali się ubierać. Nasi nie chcieli się tam ubierać. Stawiali pod mur, pod mur wszystkich, bo będą strzelać, gdy się nie będą ubierać. Ja uciekłem, to pamiętam, do kuchni z pokoju, schowałem się pod łóżko. I jak dzisiaj pamiętam tego Rosjanina w tej kuchni, chodził, i te jego buty, gdy podszedł do łóżka. Schylił się i widzę rękę. A on schylił się po buty, które stały przy tym łóżku. Na tym łóżku nikt nie spał, bo to było łóżko w kuchni. W każdym

razie mnie nie zauważył, matkę i siostrę zabrali, a brat matki z żoną pozostali. Ich dopiero rok później zabrali, ciocię Milę.

Moja siostra była ode mnie starsza 2 lata, ^{rocznik} 1933. Zabrali matkę i siostrę, ja pozostałem. Wzięli je na dworzec, tam do wagonów, co już były przygotowane. No i w dzień, brat matki, mój wujek poszedł do matki spytać się, co zrobić ze mną. A matka mówi, przynieś, niech będzie razem ze wszystkimi. No i tak, że mnie wujek przyprowadził. To pamiętam, załadowali nas do wagonów, przygotowanych, półki takie były, regały porobione, chyba dwa piętra tych regałów. Byłem na najwyższej, środkowej półce. Załadowali nas i z relacji matki wiem, że przez dwa czy trzy dni nikt nie otwierał naszego wagonu. Dopiero na trzeci dzień prawdopodobnie przyszli i tam krzyczeli "pany wstawaj". I wtedy dali nam coś ciepłego do picia, herbaty. Co dawali: dziennie 3 kostki cukru i na każdego członka rodziny, mimo że miałem pięć lat, trzy papierosy. Matka paliła przed wojną, więc miała matka 9 papierosów dziennie, trzy na mnie, trzy siostra i trzy matka. Tak że matce wystarczało. W każdym razie pierwszy raz, co nas otworzyli i mogliśmy wyjść, to było za Wołgą. Ja nie pamiętałem, ale matka to stwierdzała, że po raz pierwszy otworzyli wagon i można było wyjść, za Wołgą.

Jak długo żeśmy jechali, tego nie pamiętam. Zawieźli nas do Kustanaja, stamtąd samochodami. Teraz już nie wiem, czy były nas 4 rodziny, czy więcej, 4 rodziny na samochód i zawieźli nas w step, wieźli stepem, jak to już wiadomo. Step to jest taka porośnięta trawa kępkami i taka droga niby, że te pojazdy nieraz tam jeździły. To była kustanajska obłast', Kustanaj miasto wojewódzkie. Jak na mapę popatrzeć, to jest ostatnia stacja przed rzeką Taboł. Jest to rzeka, która chyba do Irtyszu wpada. Wzięli nas, załadowali na samochody i zawieźli nas, co pamiętam z

opowiadania matki, 100 km coś od miasta - Tatianowka. Tam zwalili nas na placu, gdzie była cerkiew, sawiet, to jest policja. Zwalili wszystkich Polaków i zrobili miting taki, zebranie wszystkich miejscowych z tej wioski. Zakazali brać na kwatery, że to są wrogowie ludu.

Ale naród tam, to zawsze się wspomina, jest bardzo dobry, sam naród. Tak że przez noc jeszcze niektórzy byli, a już na drugi dzień, to już do ziemianki na - tego zabrali tutaj, tego tutaj, porozbierali. Jeszcze matka ni w ząb nie rozumiała po rosyjsku. Gdyby rozumiała, byłaby być może jako pierwsza zaraz zabrana do jakiejś rodziny, bo pytali się o "partnicho" - krawcową. Dlatego że matka była krawcową, my mieliśmy jeszcze z tych Polaków najlepiej, co to musieli chodzić musowo do kołchozu i żyli z tych kołchozowych racji, - jak to mówili leningradzki pajok 100 g chleba. Matka szyła tylko i wyłącznie za wyżywienie, za ziemniaczka, za troszeczkę mąki, otręby itd. Można tylko tyle powiedzieć, że jedna rodzina, która miała dwójkę dzieciaków, oni chodzili do kołchozu, Stefanicki Coni w Szczecinie teraz mieszkają, ci bracia), jak matka mówiła mieli bardzo dużo dolarów w złocie - pięciodolarówka, dwudziestki - to on za taką dolarówkę w złocie dostawał gdzieś tam od kogoś pud ziemniaków, 16 kg. To było bardzo ciężko.

Matka pracowała faktycznie tylko na moją siostrę, bo ja chodziłem z matką, to tam u kołchoźnika jeszcze zjadłem. Cały czas to nie było, dopiero później, gdy byłem trochę większy i mogłem kręcić maszynę, bo to ciężko było, szyło się jakieś rzeczy z owczej skóry. Pomagałem matce w szyciu, to znaczy przy kręceniu korbką tej maszyny. Maszyna nie była na pedał, tylko z boku miała korbkę. Matka miała tylko tą robotę. Do kołchozu, mimo że obowiązek był do kołchozu, tam każdy musiał iść do kołchozu, matka

nie poszła. I był taki prezydent kolchozu, co nieraz prosił matkę, żeby poszła, bo ona była poważana z tego szycia, bo tylko była tam jedyna, która potrafiła uszyć jak prawdziwa krawcowa. Matka powiedziała, że nie pójdzie i nie poszła. Tak się jakoś te 5 lat w Tatianowce przebyło.

My później kupiliśmy, chyba po trzech latach, swoją ziemiankę. Ziemianka to była taka sień, kuchnia z dużym piecem, pryczą. Na piecu ludzie starsi mieszkali. I pokój. To tam były dwie rodziny: Bielawska i my. Ziemiankę kupiliśmy za zarobione i w kolchozie, i tam u ludzi pieniądze. Nie przydzielona, kupiona była. Nawet później myśmy ją sprzedali, tą ziemiankę. Z rodziny Stefanickich babcia i matka zmarła tam, w strasznych warunkach. To byli znajomi, wywiezieni razem z Milatyna Nowego, razem przebywaliśmy w tej ziemiance. Z Milatyna Nowego przebywało tam, nie pamiętam już nazwisk, jedna rodzina żydowska i Bielawski. Wiesław Bielawski, on mieszka w Gdańsku, jest teraz na emeryturze, on wcześniej wyjechał, bo poszedł do wojska, jak się tworzyło, bo on był starszy. W tej grupie z Milatyna było polskich dzieci: siostra i ja. Wieśka Bielawska, Bielawskiego Wiesława siostra, i Stefanicki. Poza nami były jeszcze żydowskie dzieci. My byliśmy jedynymi Polakami w tej wiosce.

W 1942 roku, po napaści Niemców na Związek Radziecki przywieźli do tej wioski dużo nadwożańskich Niemców. Polacy musieli pracować, natomiast Niemcom było zakazane pracować. Zakazane brać do pracy. Oni byli wolni tam, ale umierali z głodu. Oni wszyscy umarli z głodu.

Myśmy mieszkali nad takim jarem, bo to jest step jest równina, ogromna równina, ale jakieś tam wgłębienia są. Tam jest zima ostra, lata bardzo piękne. Tam właśnie w Kazachstanie, gdzie byliśmy. Jak przychodzi wiosna, to momentalnie, w tygodniu śniegi,

którymi są ziemianki pozasypywane... Bo zimą przychodzą takie zawieje, że ziemianka zostaje zasypana, to znaczy taki tunel dookoła jest, tworzy się taka zaspą, tak że powtaje tunel. Śnieg jest zbity. Jak się rano wstanie, ciemno jest, a wiedzą starsi ludzie, że już dzień powinien być, to drzwi otwierają, w śniegu kopią schody i chodzą po tych schodach. Ale wtedy jest od razu okna odtajają, bo cieplej jest jak jest zasypany śniegiem. Takie są ogromne śniegi.

Jak przychodzi wiosna, to ta woda tak rwie ze stepu i taki jar od nas był gdzieś 80 m, szeroki może na 50 m, 60 m i głęboki na 30 m przynajmniej, to ta woda wryje sobie taki ogromny... to jest huk, dosłownie huk przez tydzień, jak ta woda... to taka nagła zmiana temperatury. Lata są bardzo piękne.

Myśmy mieszkali przed tym jarem, przedostatnia ziemianka, za nami był cmentarz i za cmentarzem miejsce, gdzie chowali zwierzęta, gdy była jakaś epidemia i zdychały. Niemcy żyli tylko wtedy, gdy coś zdychało. Bo jak coś zdechło, kilka krów czy jakaś krowa i wywieźli, to wilki jeszcze nie zdążyły, dużo wilków tam było, a już Niemcy zabrali. Niemcy mieszkali w ziemiance opuszczonej. Nie kupowali jej. Z relacji wiem tylko, że nazywali komuną tą ziemiankę nad jarem. Według relacji matki, to było gdzieś 40 osób w dwóch małych pomieszczeniach, w granicach 15, 16 m kwadratowych pokój i taka sama kuchnia. Czyli 30 do 35 m kwadratowych i tam mieszkało 40 osób. Oni, jak coś zdychało, koło nas szli. To jeden nogę niósł, jeden głowę, matka to pamięta, ja też tam byłem, ale matka to bardziej pamiętała, jak szła i przed taką komuną, koń, który był wymęczony, już jedne rany, miało się na zdechnięcie, tak stał, chwiał się, naraz padł. Jak padł i wyciągnął nogi, to 5 minut i nie było konia. Wylecieli, i to było jak sobie przypominam teraz tego konia, to były jedne rany, aż by

apetyt odszedł, a oni to zjedli. Jak przyszła jakaś epidemia, to wymarli wszyscy, tak, że ani jeden Niemiec nie został, stamtąd nie wrócił. Rok po roku wymarli wszyscy. Bo im zakaz było pracowania i zakaz było chodzenia daczki, to znaczy po proszonym.

Jakie sankcje za udzielenie pomocy Niemcom były nie pamiętam, ale były określone, tak że nikt się nie odważył. Jakie sankcje mogły być, na Ruskach, na własnym narodzie? Bo później przywieźli jeszcze Czeczeńców, to oni znowu z zimna wymarli, bo przyjechali w takich góralskich tylko narzutkach, bez rękawów, takich góralskich uszyte papciach, tak jak to było na Kaukazie.

Polska społeczność trzymała się razem. Oprócz tego, że ta pani Stefanicka jedna i druga zmarła, to wszyscy z Polaków wrócili. Polacy musieli pracować przy pracach polowych w kołchozie. Rosjanie te swoje Woskresenia świętowali. Natomiast matka tylko swoje niedziele przestrzegała. Tylko w swoje niedziele nie pracowała. A oni chcieli nawet, żeby matka szła w niedziele nasze a nie ich. Tak że oni to przestrzegali te święta swoje. Polacy obchodzili Boże Narodzenie. To chyba była wschodnia tradycja - na Boże Narodzenie kłaść słomę w mieszkaniu. Ja zapomniałem jak to się nazywa, tego nie powiem. W każdym razie było to nawet przestrzegane tam, że na Boże Narodzenie w mieszkaniu wykładane było słomą, tak grubo słomą. To raj był dla dzieciaków, bo się tam wtedy dzieciaki się bawiły. No to by były takie sprawy, gdy myśmy tam mieszkali.

Teraz powiem jakie sankcje były gdy coś się nie przestrzegało. Pamiętam była kobieta, która krótko przed naszym wyjazdem, nie, trzy lata przed naszym wyjazdem wróciła z więzienia. Jak ktoś przestawał pracować, to nie jest bajka, zabierali mu wszystko. Działkę przyzagrodową zabierali, bo kto nie pracował nie dostawał nic. Mimo, że pracował w kołchozie. Była taka staruszka, która

tylko chodziła po proszonym, dzisiaj do tego, jutro do owego, nawet do polskiej rodziny jak przyszła, to ziemniaczka jednego, a dostała. I ona zebrała z cztery ziemniaczki, kawałek słoninki i już w tym dniu dalej nie szła. Na drugi dzień rozpoczynała znowu. Po zbiorach na polu poszła na step, bo przeważnie pola 5 km od wioski dopiero uprawiali, żeby to ludzie nie kradli, żeby było widać jak idą - to zebrała 3 kg zboża, to znaczy kłosa. Jak to wiadomo, u każdego gospodarza, żeby nawet ręcznymi grabiami robił, kłóska będą leżeć. Nazbierała ona, złapali ją, było trzy kg, a dostała trzy lata.

Taki przypadek np.: kołchoźnicy musieli pracować, każdy pracował, miał swoją działkę przyzagrodową, krowkę, owcy coś i coś kurek. I w zależności od ilości trudo-dni, tych dniówek, oni dostawali przydział na stepie, ile mogą sobie wykosić trawy, żeby mieć na zimę dla tej krowy. I tam wyszedł z klaczką, odmierzył, tyle mieli prawo wykosić. Słomy na podściótkę mogli brać tylko, jak stał stóg słomy starej, zeszłorocznej, już takiej przyczerniałej, czarnej już, której krowa nie mogła jeść. To tylko mogli brać taką słomę, żeby czasem krowa nie mogła przeżuwać tej świeżej. On musiał tyle zarobić w kołchozie, żeby dostał możliwość wykoszenia sobie świeżej trawy. A wszystko wiosną palili. Podpalali i ten step się palił. Takie sankcje, ludzie przestrzegali.

Pamiętam jeszcze jedno zdarzenie: Wybraliśmy się, dwóch Polaków i jeden Rosjanin, ja jako najmniejszy, wtedy miałem już chyba 8 lat, na krzdzież słonecznika. Bo np. jak arbuzy uprawiali, to uprawiali je najczęściej 15, 20 km w stepie, jeszcze tam był z psem i z dubeltówką stróż. A słonecznik był bliżej. To było nad jarem, niedaleko jaru, gdzieś koło 5, 7 km. Poszliśmy tam zbierać. Wiadomo jak wyglądają te rubaszki rosyjskie, każdy miał na

wierzchu koszulę. Nazbieraliśmy tego słonecznika, każdy już miał tak upchany w koszuli. Bo to było dosłownie szmat słonecznika. I niespodziewanie, nikt nie zauważył, Kozak, który pilnował, nadjechał. Kirys, tak teraz Kozacy się nazywają. To każdy puścił tylko ten pasek, wszystko się wysypało i on nas gonił. Mnie nie uderzył ani razu, mówię - byłem mały. A tamci to byli starsi, jeden poszedł do wojska zaraz później jak się tworzyła armia. To już był ten czas, że poszedł. To gonił całą drogę, mnie zostawił gdzieś po kilometrze, po dwóch zostawił, ja jak padłem to nie mogłem powietrza złapać. A ich bił tą nachają, jak oni mają takie krótkie - ten trzonek, później takie plecione włosiem długie biczysko. Jak uderzył to przecinał skórę. Tak zapędził ich. Co prawda na wsi wszyscy uciekli, bo jak gonił ich do tego Synsowietu, to w każdej ziemiance był taki słupek i furtka, to między tym słupkiem a ziemianką, koniem się nie zmieścił, że tak mu uciekli wszyscy, ale plecy mieli pocięte.

Dzieci polskie bawiły się razem, jakby nie było żadnej różnicy. W każdym razie naród rosyjski, zwłaszcza tam, ja nie mówię o wszystkich, ale tam w tej biedzie, przychylny niesamowicie. Nie wyszedł nikt, naawet jak Polak poszedł z proszonym, żeby nie dostał ziemniaczka. Taka była bieda i dlatego ludzie to rozumieli dobrze. Dobry tam naród jest.

Może jeszcze jak było zimą. Każdy zbierałten kiziak. Ja jako jedyny, co latem z matką nie chodziłem, to zbierałem zapas paliwa na zimę. Takie wieniki, nie wiem jak to się nazywa po polsku, takie jednoroczne to rosło, wiatr później to pędził. Myśmy to zbierali, a oprócz tego my Polacy zbieraliśmy placki krowięce tymi robaczkami podziurawione, wyschnięte na tym Słońcu. Ja przez lato potrafiłem zebrać dosłownie stertę tego, że starczyło na całą zimę do palenia. No bo na stepie drzewa nie było. Tylko tym mogliśmy

palić. To moim było zadaniem zaopatrzyć rodzinę, ziemiankę i tamtych innych też w ten opał. Zapalek nie było. Człowiek wychodził rano, patrzył się, tam daleko jakiś dym idzie z komina, to z powrotem szedł do domu i czekał, aż ten dym coraz bliżej, coraz bliżej i każdy z wiadrem od jednego do drugiego szedł brać, bo zapalek nie było. Jak ktoś miał, to było to na wagę złota, te zapalki.

Tatianowka to duża wieś, tam było jakby 4 PGRy, to był jeden kołchoz, składający się z czterech PGR-ów. Jeden to był wyłącznie tylko konie, hodowali, tylko i wyłącznie konie. O ile pamiętam, wioska była kilka kilometrów długa. Główna droga ciągnęła się prościutko i nad jarem. Myśmy mieszkali za dwoma działkami, jedna działka przyzagrodowa, druga, znowu rząd budynków, to tam myśmy mieszkali. Za taką odnogą jaru była osada, tam mieszkali Kozacy, Kirgizi. Kirgizi, Kozacy to mówili, jak kiedyś to było, to pamiętam. "Rańsze ja był Kirgiz, jeł machan, pił kumys, a tepier stał Kazak, oj bajaj, prepał kursak." To przetłumaczenie: dawniej byłem ja Kirgizem, jadłem machan (to takie serki z końskiego mleka), piłem kumys (to taki napój alkoholowy też z końskiego mleka), a teraz stałem się Kozakiem, ojojój przepadł brzuch. Tak, że oni na Rosjan bardzo nieprzychylnie patrzyli.

A zimą, wiadomo sanek - tam nie było, to jak sanki robili: jak krowa napaskudziła, to z tego się robiło: wymieszało się ze słomą taką potarganą, tak powiedzieć, gówienko to, zrobiło się taką miseczkę, dziurkę się zrobiło, żeby sznurek przełożyć, to zamarzło. Jak zamarzło, przewróciło się na drugą stronę, śnieg mokry obłożyło się i to zamarzło. To były sanki. Tam mróz jest taki, że ja jak szedłem z matką do szycia, to mimo, że kapturek na nos miałem szyty, naraż usłyszało się takie ukłucie lekkie: już się jeden na drugiego patrzył, białe się robiło. Trzeba było brać

śniegu i rozcierać, bo to by zamarzło.

~~Wszystko tam~~

Stosunek mieszkańców do władz: stosunek Kozaków do władz był nieprzychylny, natomiast ci Rosjanie byli jednak według mnie posłuszni, bo oni się bali, bo jak np. coś tam przeszkrobał, na czymś złapali, to jak mężczyznę wzięli np. do Kustanaja, to za naszej bytności już nie wrócił. Nawet rodzina nie wiedziała, prawdopodobnie wysyłali ich tam dalej na Sybir, do tej ciężkiej pracy. W każdym razie już nie wracał. Rosjan się bali, a Kozaków to oni się nie bali i oni jakoś tych Kozaków... Władzę radziecką reprezentowała ta gmina, jakby powiedzieć, ten Synsawiet. Predsiedatiel to wszystkie kołchozy miał pod sobą, priedsiedatiel kołchozu. A natomiast Sylsowiet, to była jak nasza policja. Stosunek do nas Polaków był przychylny. Do Polaków był przychylny, jak mówiłem Niemcy wymarli, Czeczeńcy wymarli, jednak Polacy pozostali. Był bardziej przychylny. Cerkiew tam była w tej Tatianowce, to to był magazyn zboża w tej cerkwi.

A też ludzie opowiadali jak było za cara. Za cara oni mieli tam dobrze. Zboża było, wszystko było co tylko, głodu nie mieli. Natomiast jak zapisywali się do kołchozu: przyjeżdżali do tej wioski, żeby się zapisywali do kołchozu. Nie zapisywali się. Brali np. kilku, jak mówili ludzie tam, kilku mężczyzn, trzymali ich trzy dni bez jedzenia, bez niczego, tak, że ich tam nawet bagnietami zakłuli. Przed cerkwią było żelaznym płotem ogrodzony taki pomnik, zrobili go mieszkańcy później, pamięci tych których męczyli, jak nie chcieli się zapisać do kołchozu. Nie zapisali się nawet pod taką presją. Wtedy zrobili tak zwaną miociołkę. Od czego to było uzależnione: miociołka - od miotły. Wymietli wszystko co tylko było możliwe ze spichrzy i wyjechali. Tak, że oni zostali bez niczego mieli psy, koty, to pozjadali i później nic nie było.

Tak że nie mieli co jeść i zaczęli się zapisywać do kołchozu. Ja mówię tylko, co opowiadali tam ci starzy ludzie. Nasz sąsiad przez działkę (my nad jarem mieszkaliśmy), on mieszkał tam przy tej drodze głównej, to zjadł swego syna. Dwa wypadki były gdzie zjadł ten syna, a jedna dziewczyna wróciła z Kustanaja do domu, bo tam gdzieś pracowała, wróciła i też ją zjadła rodzina. Do tego stopnia. Mówię co opowiadali starzy ludzie, jak tam matka chodziła po szyciu. Tak wyglądało zapisywanie do kołchozu. To nie jest prawda, że się wszyscy pozapisywali. To różnie było z tym.

W Tatianowce przebywaliśmy do 45 roku. W 45 roku dostaliśmy wiadomość, że jest transport, który jedzie do Stanów Zjednoczonych, nie wiem, czy był taki, czy nie był taki transport, ale do nas taka wiadomość doszła. Polacy do Stanów, i to było w 45 roku i część Polaków wyjechała do Stanów Zjednoczonych z Kazachstanu. Sprzedaliśmy ziemiankę, wszystko spakowali, dali nam podwodę, dwa woły, wóz i jechaliśmy do Kustanaja. Zajechaliśmy do Worobiowki, postój tam był, spotkaliśmy jakiegoś Polaka, który wracał z Kustanaja, ale nie mieszkał w Worobiowce, nie wiem gdzie. W każdym razie powiedział, że transport odszedł w poniedziałek, że już nie mamy po co jechać. To już nie mieliśmy się po co wracać do Tatianowki, to u władz załatwione, najprawdopodobniej załatwiono, czy możemy zostać. W każdym razie w Worobiowceziemiańska się znalazła opuszczona. Z Tatianowki wyjechali wszyscy Polacy, tylko te dwie panie zmarły tam. Zostaliśmy w tej Worobiowce, 20 km od Tatianowki, a 80 km od Kustanaja. Tam zostaliśmy, wiadomo, ci co musieli pracować - to w kołchozie, matka w dalszym ciągu szyła. Zimą prezydent kołchozu z Tatianowki przysłał sanie z pracownikiem, że matka ma przyjechać i zabrać ze sobą tą Bielawską, z którą razem myśmy mieszkali, żeby coś tam poszyła. I jak matka pojechała, to chyba była miesiąc tam szyła, a tutaj

siostra gotowała, to tutaj dawaliśmy sobie radę. Bo jakiś zapas matka zarobiła. Dopiero po obszyciu tak dużym powiedział: wyjeżdżacie wiosną do Polski. Dlatego przysiał po matkę; on już wiedział, ale nie chciał powiedzieć wcześniej, bo myślał, że nie zechcą szyć. A był dobry człowiek matka zawsze wspominała, że był dobry człowiek ten prezydent kolchozu. Tak, że myśmy wiedzieli, że wyjeżdżamy już w 46 roku wiosną do Polski.

Wiedzieliśmy mniej więcej już, bo już wracali z wojny ludzie, ci żołnierze radzieccy, niektórzy wracali. Tam ani jabłek, ani różnych owoców, żadnego roweru, nic, nikt nic nie widział i taki żołdat przyjechał ze zdobyczym motorowerem. Tym motorowerem jeździł, co chwilę mu stawał, psuł się, to prawie cała wieś biegła za tym patrzeć, jak jedzie na dwóch kółkach, jeszcze terkoce, bo nikt nie miał roweru. To była sensacja.

W każdym razie, przyszła ta wiosna, zawiadomienie oficjalne, że mamy jechać do Kustanaja. Dali nam znowu podwodę. To zawsze matka wspominała: jedną krowę i jednego woła. Ten wół to już był słaby. Nie wiem czy znacie, jak te woły ciągną? One ciągną karkiem, takie było jarzmo i taki dyszel i w nim było kilka otworów. Jak ten wół słabszy był, to ramię ramię większe, a silniejszy stwór miał ramię krótsze. Ten wół ledwo doszedł. Myśmy się spakowali, jechaliśmy, zajechaliśmy pod Kustanaj, to była wiosna, most był zerwany. Tam dzień przeczekaliśmy, aż promem nas przewieźli. W Kustanaju takie właśnie zaświadczenia tam podostawali wszyscy i być może takie, jak w polskiej gazecie opisał Bielawski: zaświadczenie Polsko - Radzieckiej Komisji Mieszanej do Spraw Ewakuacji osóbnarodowości polskiej i żydowskiej, na podstawie umowy dnia 6 lipca 1945 roku. I być może między jednym numerem a drugim nasz był, tu jest taka przerwa, być może matka miała ten właśnie numer - nam to wszystko ukradli w wagonie. Normalnie okradli nas w wagonie.

Dojechaliśmy do Kustanaja. W Kustanaju dali nam bogate zaopatrzenie: sucharki, wszystko UNRA, wszystko amerykańskie, sucharki, mleko konserwowe, śmietana w konserwach, wszystko na drogę nam dali. Nie wiem na jaki czas, ale myśmy jechali 6 tygodni do Polski. Jak dali nam prowiant, każdy się ładował do tego wagonu, to były towarowe wagony, miały dwa piecyki takie okrągłe do gotowania z rurą wyprowadzoną przez dach. Udekorowane były wagony, na czerwono całe. Tak udekorowali. Na tym dworcu, przed odjazdem wszystkich zebrali, nasze władze dziękowały władzom radzieckim za utrzymywanie nas przez 6 lat na terenie Związku Radzieckiego. Było to uroczyście zrobione. I nawet pamiętam, że jak mieliśmy odjeżdżać, dwie dziewczuchy wysiadły z wagonu, bo odprowadzali ich kawalerowie, nie z naszej miejscowości, z jakiejś innej, nie wiem jakiej. Jaki płacz był tej matki, bo dziewczyny wysiadły, to matka też wysiadła.

No i ruszyliśmy. Jeszcze taki szczegół: jak myśmy ruszyli, rano budzimy się pociąg stoi, rewizja. Żołnierze z karabinami. Dopiero się dowiedzieliśmy o co chodzi. W czasie jazdy tą wszystką dekorację, te wszystkie szturmówki zostały zdarte. Nie dlatego, że była to czerwona szturmówka, bo wtedy nikt się może nie orientował w sprawach politycznych, tylko płótno, do uszycia bluzki, czy czegoś tam. Na to wszystko pozdzierali. Rewizję robili jak nie wiem.

Jechaliśmy 6 tygodni. Stawaliśmy dość często. Wiem, że przed jakąś rzeką żeśmy stali cały dzień, w nocy dopiero przejeżdżaliśmy. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że był tak słaby most, że bali się, że pociąg runie. I żeby nie było paniki, to w nocy nas przewozili przez ten most. Zajechaliśmy na polską granicę, w którym miejscu nie wiem.

W Kustanaju tworzył się transport. Od razu mieszkaliśmy w

wagonach. Były prycze przygotowane. Rosjanie przygotowali to na prawdę elegancko. Czyściutko było, półki były porobione: jedna półka, druga półka, żeby ludzie mogli spać. Naprawdę trzeba przyznać, że było naszykowane to z kulturą. Natomiast nie można tego powiedzieć o polskiej granicy. Okropne. Jak myśmy przechodzili z wagonów szeroko-torowych na wąskotorowe. Staliśmy jeszcze przed polską granicą 4 dni w takim polu: krzaki, widzieliśmy masę tych trupów w tych okopach, tak nie posprzątane, pełno. Niektóry to karabin trzymał i wszystko zszarzałe, tylko kość obciągnięta już skórą, to same czaszki prawie były i tego masa była. To myśmy tam chodzili i szczęście, że na minę nie trafiliśmy i wszyscy przyjechaliśmy.

Na polskiej granicy musieliśmy wyjść, dali nam wagony, dosłownie takie wagony, z których było wyprowadzone bydło. Mokro, gnój, pełno. To trzeba było skrobać, myć i już nam żadnej półki, żadnej. Nic. Każdy siadł na narożniczku swojego tobołka i tak siedział. Polacy kiepsko nas przyjęli. I tam nas okradli. To znaczy matkę. Nie wszystkich w całym wagonie, tylko takiego pecha mieliśmy, że my nic, żadnego papieru nic nie mamy. To już na polskiej granicy. Tam szabrownicy byli. Na polskiej granicy wymienili nam ruble, bo mieliśmy z trzysta rubli, bo sprzedaliśmy tę ziemiankę, żeśmy mieli trochę tych rubli, za to cośmy posprzedawali. To tam władze nasze kazali nam wymienić ruble na złotówki, jeden za jeden dawali. A powiedzieli, że jak teraz się nie wymieni, to przepadają, bo w Polsce są niechodliwe, nieważne. Im dalej się jechało w Polskę w głąb, to chodzili po wagonach i 10 zł za rubel dawali. A myśmy wymienili wszystko tam.

Przywieźli nas do Szczecina, postawili i staliśmy tam tydzień. Cały czas w tych bydlęcych wagonach. Do jedzenia mieliśmy to co nam na drogę dali, ten suchy prowiant, to co dali Rosjanie w

Kustanaju. Tutaj nam nic nie dawali. Jabłka to wiem, że nie dawali. Wodę, to jak stawaliśmy, to każdy wychodził, żeby kubek tam wziąć. Ja nie wiem, nie pamiętam, żeby jakaś tam pomoc lekarska była. Być może dawali lekarstwo, nie można powiedzieć, być może tak. Zawieźli nas do Szczecina. Tam staliśmy tydzień, bo powiedzieli: "każdy może pójść do miasta i wybrać sobie co chce: czy w bloku, czy w jednorodzinnej." Faktycznie było tak dużo wolnych mieszkań, że można było pójść i nieraz z meblami było. Jak się wskazało, to oni samochodem zawozili do tego lokum. Wsiadła tam ta Stefanicka. Bielawska też chyba. (A teraz Bielawska mieszka w Gdańsku). Wsiadła i później po dwóch dniach przyszła, płakała, chciała z powrotem do wagonu, bo szabrownicy. Straszne szabrownictwo było w tym czasie. I ona się bała, ale kto wysiadł, to już do wagonu nie puścili. Ona już tam została. Do wagonów nie wpuszczali nasze władze, pilnowali i nie wpuścili. Władzom zależało, żeby ludzi rozproszyć. Ze Szczecina zawieźli nas do Katowic.

W Katowicach postawili znowu na bocznicę i znowu, aż ludzie sobie znajdą jakieś lokum. Dowiedział się prawdopodobnie matki siostry mąż, mieszkał wtedy w Brzezince, (to jest wieś Brzezinka, koło Gliwic) zabrał nas tam. Takie było duże gospodarstwo, 50 hektarowe. Później je opuścił, bo dostał w zamian za to, że we Lwowie zostawił domek jednorodzinny, dostał domek koło Gliwic. Brzezinka, osiedle koło Gliwic. Dostał domek jednorodzinny, mały taki, były tam chyba 3 pokoje i kuchnia, jeden pokój na górze i dwa na dole i kuchenka. Wujek wziął nas tam. Byliśmy tam chyba dwa lata. Bo ja przez pierwsze trzy lata, pierwszą, drugą, trzecią robiłem klasę. Później trzecia i czwarta. Tak dwa lata żeśmy byli u nich, bo do piątej chodziłem w Gorzęcicach. Wziął nas wujek, matki brat, który dostał za to co tam zostawił, bo miał swoje

papiery, gospodarstwo 7 km od Nysy, to jest województwo opolskie. I tam po ukończeniu siedmiu klas poszedłem do technikum mechanicznego, wydział elektryczny w Nysie. Czteroletnie to było. Wiem, że matka się starała o ojca rentę, to dostała, za lata starania od 1946 roku do 1952 roku, to 6 lat dostawała 30 zł za miesiąc. Czyli dostała spłatę rocznie 360 razy 6, a później do 1956 roku 96 zł, a dopiero jak Gomułka przyszedł to 360. A w 1961 matka zmarła.

O losach ojca matka dowiedziała się, bo kuzynka, która mieszkała we Lwowie miała gazetę niemiecką, w której był ojciec podany, że, jak była ta komisja badania zbrodni katyńskiej, jak wykryli Niemcy w Katyniu te groby, to ojciec był w gazecie. I matka stąd wiedziała, tylko stąd wiedziała, że tam zginął. A wiedziała, że do niewoli był wzięty. Tam oni, ta komisja mieszana, nie te władze polskie, rząd polski na emigracji to podał. Matka stąd się dowiedziała. I jak starała się o rentę powiedziała, że zginął w Katyniu, to w takiej dziurze Nysie, w gminie zakazali mówić. - Żeby pani więcej tego nie powtarzała. Tak, że wszędzie pisała, że zginął tragicznie w czasie wojny. Nawet na nagrobku jest napisane: "Zginął tragicznie w czasie wojny". A teraz chcę zmienić tablicę, żeby już napisać faktycznie jak jest. Bo matka w 1961 roku zmarła.

Po skończeniu technikum dostałem nakaz pracy, bo w 1954, 1955 roku były nakazy pracy, jak się skończyło szkołę to dawali nakaz pracy. Z nakazu pracy dostałem do Poznania, do przedsiębiorstwa elektryfikacji rolnictwa i tu do tego czasu pracuję, tylko teraz spółka powstała w tym przedsiębiorstwie pracuję już na stałe.

Jeszcze to, że jak już tu pracowałem to podałem, że inżynier elektryk, a tam technikum skończyłem. bo kończyłem zaocznie studia w Poznaniu na politechnice. Dość późno, bo to takie były sprawy,

że z początku każdy pracował, czy technik, czy inżynier, pracował na akord sam, samodzielnie. I dość ładnie zarabiałem. To trzeba przyznać, że aż wstyd było mówić ile człowiek zarabiał, to było pięciokrotnie więcej w roku niż średnia krajowa była. Ale później zrobili inaczej, i technik miał mniejszą stawkę i poszedłem na te studia. Politechnikę Poznańską ukończyłem w 1980 roku. Późno to późno.

Wróćę jeszcze do pobytu w Kazachstanie. Byłem dzieckiem. Mój pogląd rzeczywistości był ograniczony. Kontakt odbywał się poprzez matkę, a później przez rówieśników. Człowiek wcale nie myślał jako dzieciak, że coś może być inaczej, niż faktycznie jest. Tam z tymi rosyjskimi dziećmi, pamiętam, żeśmy chodzili wszędzie. Człowiek był głodny, tam różne rzeczy robił, nawet wróbelki jadł. Pamiętam, że nawet chodziliśmy kawał kilometrów, 10 km i dalej w stepie, gdzie kołchoźnicy zbierali np. ziemniaki, czy coś innego, to tam jechali takim wozem Drzymały. Karmili ich tam, bo jak pojechali na dwa tygodnie to dwa tygodnie tam siedzieli. To my tam chodzili, to z pod stołu, jak oni tam już zjedli i te kości wywalali, to dzieciaki rosyjskie i ja między innymi te kości ogryzaliśmy. Bo trzeba przyznać, że ten leningradzki pajok, 100 g chleba, był z piotunem takim. Jak kiedyś młynkowanie tego zboża było, choćby ręcznie, to zboże takie grubeszło najpierw, potem poślad. Z tego pośladu dawali ten leningradzki pajok, 100 g chleba. Jak dali taki kawałek 100 g chleba, to co z tym zrobić? Kołchoźnik zupę z tego gotował. Matka szła za jedzeniem, to my ziemniaki tarte i otręby mieliśmy i takie placki się piekło.

Do szkoły żeśmy nie chodzili, bo można by tylko latem chodzić. Bo tam jak lato przyszło, to boso się chodziło, a zimą nie było w czym. A zimy tam są straszne. Tam na stepie zimy są bardzo ostre.

Pamiętam, że jak jechaliśmy już do Polski te 80 km, to w stepie

przed Kustanajem, około 20 km przed Kustanajem, matka mi wzięła tą rosyjską czapkę na której miałem jeszcze gwiazdę radziecką przyszytą, zrobioną z kopiejki. Wystukana, dziurka, i przyszyta do tego. Matka wzięła i rzuciła mi ją w step. Nie znalazłem jej, bo bym przywiózł ją do Polski. Wróciłem do Polski mając 11 lat. Dopiero wtedy rozpocząłem swoją edukację w szkole. Zetknięcie z tą Polską, nie powiedziałbym, żeby jakieś takie. W ciągu jednego roku zrobiłem pierwszą, drugą i trzecią klasę, później czwartą i piątą. Później 6-ta i 7-ma, to już normalnie. Pierwszych pięć klas zrobiłem w Brzezince.

Po powrocie do kraju matka była na utrzymaniu swego brata. Tamte dwa lata tu, coś tam uszyła, nie jako warsztat, tylko tak znajomym znajomych, bo od władz naprawdę nie mieliśmy nic. Od władz nie dostaliśmy nic. Później byliśmy tu u swego brata, ja byłem w internacie, siostra też chodziła do szkoły, a matka była u brata swojego. Gdy siostra zaczęła pracować, siostra została kierowniczką gorzelni w Pleszewie i tam matka była z nią aż do śmierci w 1961 roku.

~~nie pamiętam~~

Tak szczerze powiedzieć, to przez te wszystkie przeżycia, wręcz znienawidziłem ten ustrój komunistyczny do tego stopnia, że zawsze byłem w takiej opozycji. Jak zacząłem tylko pracę, to pamiętam, że byłem tylko jeden jedyny raz w 1954 roku na pochodzie pierwszo-majowym, bo to wiadomo jak było. Tam było obowiązkowo. Jak zacząłem pracę w sierpniu to na drugi rok wszyscy musieli. Poszedłem. Pamiętam, że nie miałem czerwonej szturmówki, tylko białoczerwoną. Byłem jeden jedyny raz na pochodzie pierwszo-majowym. Potem zawsze, czy ktoś za mnie, czy ja pisałem usprawiedliwienie, względnie nie pisałem w ogóle. Jak zażądali, to byle co pisałem, ale już więcej nie byłem na żadnym pochodzie, na

żadnej manifestacji, jak tam było przeciwko np. "Ursusowi" w 1976 roku. Byłem anty nastawiony do tej władzy, do tych komunistów. Mnie zrobiono bardzo dużo krzywdy. Już jako dziecku, a po drugie ojca zamordowano. Za co? To przecież było ogromne barbarzyństwo. Bo to nie był jeńiec wojeny, to był normalny człowiek internowany. Tak, że byłem negatywnie do końca nastawiony i wręcz nie kryłem się z tym. Pamiętam w 1968 roku podszedł do mnie facet, jeden z naszych kierowników budowy, bo byłem kierownikiem budowy i zaproponował mi, żebym wstąpił do partii. Wiadomo, że jak się kto do partii zapisał, to dostawał takie zadanie żeby zwerbować jeszcze kogoś. I podszedł do mnie na pokoju normalnie i mi szepce czy bym się nie zapisał do partii. To tylko odszedłem i głośno powiedziałem: "Co, do tych bandytów?" To on mi zatkał usta, żebym już więcej nie gadał. Taki strachliwy był. Ja się wręcz nie bałem, bo mnie wtedy było wszystko jedno. I jak tylko była ta "Solidarność", jako pierwszy z kolegą poszliśmy do dyrektora, że my "Solidarność" zawiązujemy. Stan wojenny, pamiętam, przyszedł to mnie dyrektor zrobił dyżur w zakładzie pracy. Zona myślała, że mnie internowano. Nasz dyrektor, choć był partyjny, to był w porządku i nie podał nas do internowania. Prawie z każdego zakładu chcieli kogoś mieć, a dyrektor moje poglądy znał, bo jego brat też zginął w Katyniu, brat czy kuzyn. Też był oficerem i jego nazwisko też jest w tej książce o Katyniu. On moje poglądy znał. Ja się nie kryłem z tym. Mnie to nie pomagało, napewno nie, bo się do partii nie zapisałem. Kto się zapisał to zaraz coś tam wyskoczył troszeczkę w górę. A mnie nawet z pensji zdarli. Ja jednak wolałem przetrwać tak do końca.

Do ludzi rosyjskich czy radzieckich nie miałem żadnych pretensji, bo naprawdę, trzeba przyznać, że znali biedę i w biedzie pomagali.

Miałem kłopoty z odtworzeniem dokumentów. Szczegółów nie będę znał, to matka już robiła. Myśmy nie mieli żadnych i matka wypełniała setki formularzy. Były kłopoty, bo wtedy trzeba było podać i ojca dane: gdzie, co. Matka miała nawet zakazywane mówienie, gdzie ojciec zginął.

Kontakt z Polakami, którzy przebywali tam z nami, miałem. Nie z tymi co razem przebywaliśmy. Byłem w Gdańsku może 10 lat temu. Spotkałem się z tym właśnie Bielawskim Wiesławem. On wrócił do Polski wcześniej. Bo jego matka była do końca razem z nami, a on poszedł do tej armii polskiej, utworzonej w Związku Radzieckim i w 1945 już był w Polsce. Razem ześmy przebywali w jednej ziemiance.

koniec.

*Nagranie i opracowanie
kasybetof Goadowski
Spisane z kasy
IvanisTava Smerkowski
Marsac - kmiecień 1992
Oddział Poznań*